

**ELIZA
ORZESZKOWA**

OFICER

Eliza Orzeszkowa
Oficer

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23523626

Oficer:

Аннотация

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

Содержание

I	7
II	22
Конец ознакомительного фрагмента.	26

Eliza Orzeszkowa

Oficer

(R. 1863)

W pewien wieczór zimowy, długi i samotny, rzekła do mnie dawna bliska znajoma moja:

– Dobrze; życzenie twoje spełnię. Opowiadać ci będę o tych dziejach dawnych, widzianych, słyszanych, odczuty, przeżytych, na dnie pamięci i na dnie serca wiecznie żyjących. Strumień czasu po nich płynął i pod wartkimi jego falami bladły niekiedy ich obrazy, lecz nie znikwały nigdy; dziś powstają tętniące pulsem chwili, która je zrodziła, rozlegające się krzykami tragedii, pomalowane barwami poezji tak głębokiej, jak głęboka była ta otchłań ofiar i mąk...

Dobrze; ja tobie w ciszy i zamknięciu ścian samotnych opowiadać będę dzieje te i pokazywać postacie, które je stworzyły, a ty szeroko rozemknij ściany i dzieje powtórz, a postacie pokaż szerokiemu światu.

Chwila sposobna nadeszła. Chwila potrzeby nadeszła. Niech serca ostygające dla ojczyzny przybliżą się do tego żużlu, który niegdyś spadł był na jej drogę, niech odetchną wonią jego piekącą i gorzką.

To woń samego mięszu drzewa spalonego na ofiarnym stosie. Kto ją w płuca swe wciąga, tego oczy napełnią się łzami i serce uderzy mocno, a w tych łzach i w tym uderzeniu wskrześnie

Miłość.

Nie dla potęgi żelaza i złota Miłość, ani dla rozkoszy pychy, ani dla triumfalnego wołania na świat cały: Ja! Ja! Ja! gdy drudzy grzęzną w pogardzie i nieszczęściu.

Inna Miłość.

Ta, której zakochane oczy obejmują ziemię ojczystą, jak nad wszystko w świecie rodzeńsze, miłsze oblicze matki;

której przywiązane oczy wpatrują się w naród ojczysty, jak w nad wszystkie inne bliższe, miłsze grono rodzonych braci;

której wierne oczy towarzyszą braciom na drogach cnót, nad którymi rozpalają pochodnie radości;

której uwielbiające oczy wznoszą się ku dwom wielkim gwiazdom, noszącym imiona Sprawiedliwość i Wolność;

której mądre oczy dostrzegają, że bez światła tych dwóch gwiazd ciemna musi być ziemia i nieszczęśliwe muszą być jej narody.

Opowiadać ci będę o ludziach, którzy mieli w sobie miłość z takimi oczyma i dlatego byli mięszem swojego ojczystego drzewa.

Dlatego również zgorzeli na ofiarnym stosie.

Opowiadać ci o tym będę w ciszy i zamknięciu ścian samotnych, a ty szeroko rozemknij ściany i do tych, którzy zaprzeczają istnieniu w narodzie swym miłości ku wielkim gwiazdom, krzyknij, że kłamią!

I pokaż im tych, którzy z miłości dla wielkich gwiazd ginęli wtedy, gdy na przestrzeni rozległej, ogromnej, nikt jeszcze

samych imion ich z miłością wymawiać nie umiał lub nie chciał.

Oni miłość tę wzięli razem z krwią poprzedników swoich i razem ze swoją krwią przelali ją w swych następców. Więc byli i są w narodzie naszym czciciele gwiazd.

Wówczas pełny ich był nasz kraj, ja spomiędzy nich garść jedną tylko znałam. O niej tobie opowiadać i ją pokazywać będę.

Lecz nie z porządku, nie z kolei, nie według dostojności, nie według dat.

Co powiem chwili do pamięci przyniesie, co wyobraźnia najwyraźniej wymaluje, co wyszepcze do ucha ten głos tajemniczy, który skądś, z niepojętych głębin czy wyżyn, myśli i słowa nam dyktuje...

I

Dwór to był stary, ze starym, dużym, niskim, białym domem, ze starym, wielkim, cienistym ogrodem, z dziedzińcem rozległym, zasadzonym drzewami, krzewami, kwiatami. Dwór to był poleski, więc dookoła i z bliska otaczały go stare, głębokie i wysokie lasy.

Od tego dworu niedaleko błękitniał na zielonych łąkach pas wody, niegdyś tu dla celów handlowych wykopany i niewiele dni minęło, odkąd partia powstańcza pod wodzą Romualda Traugutta przebyła ten Kanał Królewski i pograżyła się w głębokości tych starych, wysokich lasów. W pochodzie swym dla wytchnienia i posiłku zatrzymała się była w tym dworze, a wkrótce potem o sinym brzasku jednego z pierwszych dni czerwcowych mieszkańcy dworu zbudzeni zostali nadpływającym ku domowi szumem głosów ludzkich z tętentu kopyt końskich, z turkotu wozów złożonym. Wojsko nadchodziło. Miało zapewne w ślad za partią pograżyć się w głębie ciemnego lasu, lecz przedtem jeszcze zatrzymać się w tym miejscu, które tamtej posiłku i odpoczynku udzieliło.

Nie wszyscy jednak we dworze spali, bo zanim czarny w brzasku porannym sznur ludzi i koni ku bramie dziedzińca się zbliżył, dwaj młodzi mężczyźni z domu wybiegli i bardzo śpiesznie skierowali się ku miejscu, gdzie u sztachet otaczających dziedziniec stał osiodłany koń. Biegając, zamieniali się krótkimi

słowami.

– Czy wielu ich jest?

– Niewielu! Rota piechoty, secina lub dwie Kozaków.

– Widziałeś dobrze?

– Oho! Z tego dachu i przez lunetę można by prawie ich przeliczyć...

Były to więc czaty, z lunetą na najwyższym z dachów dworu czuwające. Sprawiał je młodzieniec dwudziestokilkuletni, niewysoki, lecz silnie i zgrabnie zbudowany, w ruchach i mowie niezwykle żywy. Drugi równie młody, ale węższy i powolniejszy, był właścicielem tego dworu. Obaj nie znajdowali się tam w ciemnych głębiach lasu dlatego, że obecność ich tu właśnie była potrzebna.

U samego już osiodłanego konia dopadła ich młoda dziewczyna, zaledwie w bielizny poranne ubrana, z rozrzuconą na plecach gęstwiną długich włosów.

– Olesiu! – krzyknęła. – Tylko ostrożnym bądź! Proszę cię... w ręce im nie wpadnij!

Chłopak z nogą w strzemieniu zaśmiał się świeżo, młodzieńczo.

– Cha, cha, cha! Czy myślisz, że jak zając jednym okiem na koniu spać będę?

Dziewczyna zaśmiała się także.

– Zmiłuj się, otwieraj dobrze oczy i uszy! – W śmiechu jej i głosie drżały łyzy. Z konia już podał jej rękę.

– Bądź zdrowa! Nie lękaj się! Przeniesie mnie mój Piorun

choćby przez piekielne drogi.

Właściciel domu mówił śpiesznie.

– Najgorsze to, że lasu dobrze nie znasz. Gdy wyjedziesz z obozu, o pół wiorsty dwie drogi będą...

– Wiem, wiem! Już mówiłeś... jedna na prawo, druga na lewo...

– Pamiętaj wziąć się na lewo... gęstwina tam zaraz będzie i za nią moczar, który okrażysz... pamiętaj, drogą na lewo... Tą, co na prawo...

– Oni iść będą...

– Niewątpliwie!...

– Bylebym się nie spóźnił..

– Oho! Zabawią tu... Wszakże rewizja...

– A, prawda!

– To potrwa długo!

Wypuścił konia bocznymi wrotami dziedzińca na drogę przez drzewa przysłoniętą i bliskim kresem dotykającą lasu, a brat i siostra śpiesznie zwrócili się ku domowi, którego drzwi na ganek obszerny wychodzące cicho i szczelnie za nimi się zamknęły.

W tej samej chwili czoło nadchodzącej kolumny wojskowej dotykało już szerokiej bramy dziedzińca i nad otaczającymi go sztachetami wzniosły się w sinych błękitach świtania czarne ostrza kozackich pik.

Po niewielu minutach dziedziniec napełnił się tłumem ludzi, koni i wozów. Z wozów z karabinami na ramionach zsiadali żołnierze, gdy wśród szumu krzyków i poruszeń ludzkich

donośnie rozlegały się rozkazy dowódców i przed każdym oknem oraz przed każdymi drzwiami domu stawał na koniu w wysoką pikę uzbrojony Kozak.

Otworzyło się jedno, drugie, trzecie okno domu, wyjrzały przez nie i wnet ukryły się głowy kobiece i męskie. Rozwarły się ciężkie, staroświeckie drzwi na ganek z czterema grubymi słupami wychodzące i na czele kilkunastu żołnierzy uzbrojonych, w obszernej sieni przez młodego gospodarza spotkani weszli do domu dwaj oficerowie. Rewizja.

Szukali broni, kul, prochu, ludzi ukrytych, papierów zabronionych, odzieży podejrzaney, wszelkich śladów i dowodów współdziałania i współczucia z tymi, za którymi niebawem udać się mieli w tajemnicze i nienawistne im głębokości leśne. O współdziałaniu i współczuciu wątpić nie mogąc, szukali śladów ich i dowodów, może też dla siebie samych jakichś wskazań i świateł, a nie znajdując, coraz głębiej, coraz popędliwej rozkopywali, rozkruszali, rozorywali dom. Z ust oficerów wypadały zwracane do żołnierzy rozkazy:

– Oderwać podłogę! Rozbić zamek! Porozrywać pokrycie sprzętów! Wysypywać ziemię z wazonów! Przebić ścianę, która przy uderzeniu wydaje dźwięk głuchy! Wysadzić drzwi, od których klucz kędyś zaginął!

Stukały młoty, rozlegały się i w coraz większą wrzawę wzrastały grube głosy, spod ciężkich butów, spod odrywanych posadzek, z rozdzieranych ostrzem pałaszy materii wzbijały się pod niskie sufity pokojów krztuszące i żółte kurzawy,

obrazy ze ścian padały na szczątki sprzętów, ktoś kolbą strzelby uderzył w zwierciadło, które z trzaskiem błyszczące okruchy po ruinach rozsypywało, ktoś inny z grubym śmiechem rozbijał dach fortepianowy, aż roztrzaskiwał się na drzazgi i klawiatura wydawała pod ciosami przeraźliwe krzyki i zgrzyty, u okien waliły się na oderwane części posadzek wysokie oleandry, begonie, kalie pozbawione ziemi, w której wzrastały. Wszystko to sprawiali żołnierze zrazu w milczeniu i tylko rozkazom dwóch oficerów posłuszni, z coraz głośniejszymi wybuchami głosów rozjątrzonych albo drwiących, z coraz zamaszystszyimi rozmachami ramion, ubranych w grube i grubymi błyskotkami połyskujące rękawy mundurów. Oprócz tych, którzy za przywódcami swymi tu weszli, wsuwać się zaczęli inni, zrazu wahający się i cisi, potem coraz głośniejsi i śmielsi. Tu i ówdzie w pewnym oddaleniu od oficerów wybuchać poczęły grube śmiechy; te i owe usta przeżuwały przysmaki we wnętrzach sprzętów znajdowane, gdy głodne oczy z połyskami chciwości biegały po kątach i sprzętach pokojów upatrując pożądaných łupów. W powietrzu czuć było rozpoczynającą się swawolę żołdactwa. Nie poskramiali jej, nie zdawali się jej spostrzegać dwaj oficerowie.

Byli to ludzie zupełnie do siebie niepodobni. Setnik kozacki z wysmukłą postacią urodziwego młodzieńca, ze smagłą cerą i kruczymi włosami południowca, ruchy miał spokojne i usta najczęściej milczące, niekiedy tylko pod czarnym wąsem uśmiechnięte ironicznie lub od znudzenia skrzywione. Ogniste

oko jego odrywało się często od rozglądanych miejsc i przedmiotów, a biegło tam, kędy przesunęła się suknia kobieca, szczególnie tam, gdzie u boku siwej kobiety w czarnej sukni ukazywała się piękna, biała dziewczyna, ze łzami nieruchomo stojącymi w błękitnych oczach.

Starszy rangą i wiekiem dowódca rotty pieszej, już może czterdziestoletni, dość wysoki, ale pleczysty i ciężki, o grubych członkach ciała i grubej, choć dość kształtnej twarzy, blondyn, z czołem bielszym od policzków ogorzałych i rumianych, objawiał w poruszeniach, mowie, w wydawanych rozkazach popędliwość tak gniewną i gorliwość tak głośną, ruchliwą, zawziętą, że zdawały się go one wprawiać w chwilowe obłądy. Były chwile, w których własnymi rękoma wyrывał ze sprzętów zamki, rękojeścią szabli ostukiwał podłogi i ściany, biegał, miotał się, krzyczał wydając coraz nowe i coraz surowsze rozkazy, a siwe źrenice jego pod rudawymi brwiami nabierały obłądnych niepokojów i połysków. Często też niespokojne te oczy z wyrazem niemych zapytań zatapiały się w obojętnej i niekiedy tylko ironicznej lub znudzonej twarzy młodszego towarzysza. Zdawały się one wtedy do twarzy tej wołać: „Czy widzisz? Czy spostrzegasz? Patrz! Czynię wszystko, czego potrzeba, więcej, niż potrzeba, więcej, niż ty czynisz... ja wierny służbie, gorliwy!”

Na dziedzińcu rozległ się, a raczej wśród gwaru obozującego wojska jak grzmot potoczył się ogromny wybuch krzyków i śmiechów. Młody gospodarz domu w okno spojrział i zwrócił się do oficerów.

– Panowie – rzekł – żołnierze kufy z wódką z gorzelnianego składu wytaczają...

– *Tak sztoż?* – z pogardliwym na mówiącego spojrzeniem ostro zapytał kozacki setnik.

Młodzieniec odpowiedział:

– Upiją się, a ludzie pijani palą i zabijają...

Zastanawiali się chwilę w milczeniu, po czym z ust Kozaka z przeciągłym syknięciem wypadło słowo:

– *Pust!*

Ale tym razem na twarzy popędliwego i krzykliwego kapitana ukazał się wyraz wahania i niepewności. Do ucha prawie rzucił towarzyszowi pytanie:

– Jak myślicie?... Zabronić? Może być *plocho*... tam...

Palcem poruszył ku stronie, w której za oknami widniał las.

Kozak z uśmiechem na czerwonych ustach odrzucił:

– *Pust!* *pi-jut!* *Mołodcami stanut!*

Za lasem słońce już wschodzić musiało, bo nad różaną wstęgą jutrzeńki wystrzeliło na pogodne niebo kilka smug złotego światła. Rewizja domu była skończona; pozostawał ogród rozległy, cienisty, w którym więcej jeszcze niż w ścianach domu rzeczy i ludzi ukrywać się mogło. Oficerowie ze znaczną liczbą żołnierzy obu broni udali się do ogrodu; w pokojach domu zapanowała swawola.

Z krzykami i śmiechami żołnierze wypróżniali wnętrza sprzętów i naczyń, zawartość ich ukrywając w odzieży lub wyrzucając przez okna z trzaskiem otwierane, na otaczające

dom trawy i kwiaty. Teraz prawie wszystkie te grube usta coś jadły albo piły i wszystkie ramiona były czynne, rozmachane, wzajem ze sobą mocujące się, wyprężone albo chwytne. W tupocie stóp ciężkich rozlegały się trzaski i brzęki rzeczy łamanych, rozbijanych, spomiędzy śmiechów i swawolnych krzyków wybuchały niecne słowa karczemnych przekleństw i łajdań.

Trwało to dość długo; po czym wewnątrz domu opustoszało, a w zamian na dziedzińcu wrzał coraz wrzaskliwszy i swobodniejszy gwar. Czuć było, że w mrowiącym się tam tłumie ludzi więzy zazwyczaj go opasujące rozluźniają się i pękać poczynają, że siły jakieś wewnętrzne, nieposkromione gaszą w nim pierwiastek człowieczy, a ze sfory spuszczają zwierzęcy. Sił tych dwie było: pałący wewnątrz klatek piersiowych trunek i budzący rozjątrzenie widok bliskiego lasu. Gdybyż to było pole otwarte, jasne, pospolite, wszystkim widzialne i znane! Ale ta ściana tajemnicza, ta zagadka, te nieznanne drogi wśród śmierci niewidzialnie zaczajonej w mrocznym cieniu... w gęstwinach dla wzroku nieprzebitych... Łaskotało to piersi i rozogniało mózgi zadymione oparami wódki...

Słońce weszło zza lasu i stanęło nad nim tarczą wypogodzoną, złotą.

Część dziedzińca zajmował natłok koni osiodłanych i zaprzęzonych do wozów.

Gdzie indziej pod starymi lipami i topolami broń w kozły złożona tworzyła wały żelaznymi ostrzami najeżone. Promienie

słońca wesoło igrały na powierzchni bagnetów i figlarnie mrugały w oczach karabinowych luf.

Na trawnikach i na zdobiących je klombach kwiatowych blask słońca wybielał do śnieżystej białości koszule żołnierzy, którzy z mundurów rozebrani, mniejszymi lub większymi tłumikami leżeli dokoła kotłów z warzącą się strawą i dokoła kuf wysokich, napełnionych wódką. Kotły wybuchały gęstymi kłębami pary, a kufy wonią, która gasiła w powietrzu jaśminowe i rezedowe zapachy.

U stóp rozkwitłych krzaków jaśminowych i różanych tęczowymi blaskami iskrzyły się szczątki porozbijanych szkielec i kryształów. Mnóstwo rąk ciemnych niosło ku ustom pełne trunku naczynia, aby je potem rzucać na podeptane trawy i kwiaty, gdzie, subtelne i wyrzeźbione, rozsypywały się rojami brylantowych iskier.

Jeziorem wyiskrzonym, zbałwanionym, pełnym groźnych pomruków, nad którymi wzbijały się swawolne pogwizdy i pokrzyki, zdawał się być ten dziedziniec szeroko rozłożony przed domem niskim, długim, białym, ze wszystkimi drzwiami i oknami szeroko rozwartymi i ukazującymi wewnątrz zburzone, pełne żółtej kurzawy i nierozpoznawalnych form rzeczy zrujnowanych i zbitych.

Na ganku zaś...

O jeden ze słupów ganku oparty plecami stał młody gospodarz domu pośród żołnierzy, którzy trzymali w rękach strzelby z osadzonymi na nich bagnetami. Na warcie tu

postawieni, otoczyli tego, ku któremu pchały ich ciemne instynkty, przez moment niebezpieczeństwa obudzone i wzbudzone. Wypity trunek zaczerwienił ich policzki i rozżarzał źrenice pod groźnie marszczącymi się czołami. Z ust padały słowa gróźb, przekleństw, natrząsań się, łajañ, coraz głośniejsze, grubsze; i wśród coraz zapalczywszych rozmachów ramion coraz szybciej poruszały się w rękach bagnety.

Wysmukły młodzieniec stał wśród tej groźnej wrzawy nieruchomy, z bezbronnyimi ramionami skrzyżowanymi na wątlej piersi, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Trochę płowych włosów spadło mu na pobladłe czoło i kropla krwi wystąpiła na cienką wargę wśród męki przygryzioną. Na mękę tę składały się uczucia rozmaite. Oczy gorzały mu spod spuszczonej powiek gniewem tym krwawszym, że niemym, bo do milczenia zmuszonym przez własną niemoc i bezbronność. W zamian dwie wciąż ku niemu przeciskające się i wciąż przez żołnierzy odpychane kobiety były całe trwogą, tą trwogą szaloną, która oczy rozszerza, wszystką krew rzuca do serca, nogi wprawia w drżenie.

Gdy coraz zwiężało się i zciemniało otaczające młodzieńca koło żołnierzy i bagnatów, siwa kobieta w czarnej sukni z wysiłkiem nadludzkim przedarła się ku synowi i odpychana, ramionami objąć go nie mogąc, roztaczała je za nim jak drżące skrzydła, które to opadały, grubiańskim pchnięciem w dół strącane, to podnosiły się znowu, gdy usta targane konwulsją postrachu wyszeptywały jedno tylko, wciąż jedno słowo:

– Zmiłujcie się! Zmiłujcie się! Zmiłujcie się!

Nagle przeraźliwym głosem krzyknęła:

– Zabijają!

Bo kilka naraz bagnetów już ostrzami oparło się o pierś i skrzyżowane ramiona młodzieńca.

Lecz w tejże chwili piękna dziewczyna, w białej, porannej odzieży, wysoka i silna, przedarła się przez las uzbrojonych ramion i obu rękoma chwytając mordercze bronie, usiłowała od piersi brata je usuwać. Nie zdołałaby tego dokonać, lecz rozsypały się jej od głowy do kolan niedbale przedtem zwinięte włosy złote i z szerokich rękawów odzieży wychyliły się przedramiona jak alabaster białe.

Kilka grubych głosów śmiać się i wołać zaczęło:

– *Ech, krasotka! Bieleńkaja! Prelest' kakaja! Pagodi!* Dostanie się i tobie! *Atstupiś, a to pocetuju!*

Wtedy stało się coś nadzwyczajnego. Siwa kobieta w czarnej sukni jak ptak zleciała z ganku i leciała przez dziedziniec ku ogrodowi, z rozpostartymi ramionami, z twarzą jak chusta białą, z jednostajnym wciąż, ustawicznym, coraz głośniejszym wołaniem:

– Gdzie kapitan? Gdzie kapitan! – Przed tym krzyczącym widmem rozstępowały się lub uchylały z drogi gromady pijanych ludzi, aż u wejścia do ogrodu przed dwoma nadchodzącymi oficerami stanęło i ze splecionymi u piersi rękoma powtarzać zaczęło po wiele razy, nieskończenie.

– Panie kapitanie! Moje dzieci! Moje dzieci!

Teraz i oni już z dala dostrzegli. Rozpalone od trunku i wzburzonych namiętności twarze żołnierzy, ostrza bagnatów ze wszech stron skierowane ku opartemu o słup ganku młodzieńcowi, piękna dziewczyna, cała w splątanych złotych włosach, szarpiąca się w ramionach rękawami munduru okrytych...

Dwaj różni ludzie, dwa różne wrażenia.

Po smagłej twarzy kozackiego setnika przeleciały błyskawice uśmiechów swawolnych i srogich, czerwone usta niedbale rzuciły do towarzysza słowa.

– *Niczewo siebie barysznia! Stoit ruskago sałdata!*

Ale dowódca roty pieszej słów tych nie słyszał.

Szerokimi ramionami jego wstrząsnęło drgnienie i krew falą gwałtowną rzuciła się mu do bielszego do policzków czoła.

– *Ech, czort waźmi! Napiliś! Nieszczastje budiet!* – wykrzyknął i z twarzą, na której gniew walczył z przestraczem, kroku przyśpieszył. Przyśpieszał go ciągle, aż bieć zaczął, biegnąc wpadł na wschody gankowe i zaryczał. Bo ryczenie to było raczej niż krzyk, grzmot to był głosu przeciągły i wyrzucający z piersi grad wyrazów obelżywych i groźących. Jedną ręką pałasz z pochwy do połowy wysuwając, drugą ku dziedzińcowi wyprężał.

– Precz! Precz! Precz! Do wozów i koni! Gotować się do odjazdu!

Minuta, dwie minuty i ganek opustoszał. Po twarzy kapitana ściekały strugi potu, ocierał je chustką, mrużąc jeszcze niezrozumiałe połajania i przekleństwa. Wzruszenie, którego

doznał i wysiłek, którego dokonał, musiały być wielkie.

Siwa kobieta, kryjąca dotąd u czarnej swej sukni wzburzoną i rozpląkaną twarz córki, zbliżyła się teraz do człowieka, który uratował życie i cześć jej dzieci. Drżąca jeszcze i jak papier blada szepnęła:

– Dziękuję.

On oburkliwie zamruczał:

– *Nie za czo! Nie za czo!* To moja powinność!

Potem ruchem porywczym zwrócił się do młodego gospodarza domu i głosem szorstkim, ale nie podniesionym, nie gniewnym, mówić zaczął:

– *Oj, wy bezumcy!* Co wy narobili! Ot nieszczęście! Ale sami... sami... sami wy winni... *bezumcy* wy! Ślepcy! Obłąkańcy!

Wstrzymał się, obejrzał za siebie i ujrawszy stojącego w pobliżu setnika Kozaków na niego i innych zawołał, aby żołnierze gotowali się do odjazdu, aby za minut dziesięć byli na wozach i na koniach, rozkazywał.

Setnik, niższy rangą, podniósł rękę do czoła, salutował, lecz w celu spełnienia rozkazu nie odszedł, kobieta zaś w czarnej sukni, już nieco uspokojona, znowu do kapitana przemówiła:

– Panie! Uratował pan dzieci moje... od rzeczy strasznych. Pragnę wiedzieć, komu wdzięczność jestem winna... jakie jest pana nazwisko?

Rzecz dziwna! Słowa te głosem łagodnym i od wzruszeń doznanych drżącym wymówione jakby czymś twardym czy

ostrym w kapitana ugodziły.

Znowu pod suknem munduru zatrzęsły się jego szerokie ramiona i znowu fala krwi aż po brzegi płowych włosów załała mu czoło. Z ponurym błyskiem oczu, szorstko i szybko odrzucił:

– *Na czto wam moja familja? Co wam do tego?*

Setnik kozacki, zamiany słów tych słuchając, miał na ładnej, smagłej twarzy uśmiech zagadkowy i przez ogniste oczy jego, utkwione w twarzy kapitana, przemknął błysk zjadliwego szyderstwa. Potem znowu przed starszym rangą towarzyszem stanął w wyprostowanej postawie, z ręką do czoła podniesioną.

– Mam honor donieść, że żołnierze strawy jeszcze nie zjedli i że należy się im...

– Na konie wsiadać! Do wymarszu! *Słuszat'!* – krzyknął kapitan i setnik z ganku zawołał:

– Na koń! Marsz!

Kapitan na gospodarza domu ani na dwie stojące przy nim kobiety nie spojrział, czapki jednak, posępnie w ziemię patrząc, uchylił, ciężkim krokiem z ganku zszedł i na przygotowanego mu konia wsiadłszy, z wolna pomiędzy ruszający się tłum żołnierzy wjechał.

W kilka minut potem dziedziniec był już pusty. Jeszcze jakiś zapóźniony wóz szybko pod stajniami przejechał, jeszcze za sztachetami, za budynkami przebiegły jedno, drugie straże kozackie z posterunków zjeżdżające, jeszcze od oddalającego się i sznurem na drodze wyciągniętego wojska dochodził poszum głosów ludzkich, z turkotem wozów i tętentem nóg końskich

zmieszany, ale dziedziniec pusty był i nie było w nim nikogo oprócz zdeptanych muraw, połamanych krzewów i kwiatów, błyszczących okruchów, porozbijanych naczyń, kałuż rozlanego trunku i podnoszących się nad tym wszystkim smrodliwych, ohydnych wyziewów.

Piękna dziewczyna z roztarganymi włosami i nabrzmiałą od płaczu twarzą rzuciła się ku matce, ręką na las wskazując.

– Mamciu! Oleś tam! I oni tam poszli! W ręce im wpadnie! Zabiorą... może zabiją!...

II

Aleksander Awicz miał lat dwadzieścia pięć, budowę ciała kształtną i silną, wyraziste rysy twarzy i wśród smagłej cery ciemnego blondyna piękne, szafirowe oczy.

Przed rokiem wrócił ze stolicy państwa, gdzie ukończył jakieś nauki wyższe, do swej niedużej, lecz ładnie pomiędzy las i jezioro rzuconej wsi rodzinnej, w której zamieszkał.

W rodzinie i szerokiej okolicy nazywano go wesołym Olesiem.

Słusznie go tak nazywano; bo i teraz nawet, gdy obóz powstańców opuścił, a w drodze, którą miał przed sobą, spotkać go mogły niebezpieczeństwa poważne, na twarzy jego ocienionej daszkiem małej czapki malowało się gorące, wezbrane mową obfitą i uśmiechem wesołym wybuchnąć gotowe życie.

Rad był, że pomyślnie i w porę spełnił włożone na niego zadanie; rad był z tego, co widział i słyszał w obozie; z upału uczuć, który rozlał się po świecie i gorącym strumieniem wlewał się mu do piersi, z różnorodnych nadziei, które w tej piersi wygrywały radosne hejnały, z tej pięknej dziewczyny, która dziś o dnia brzasku żegnała go z trwogą serdeczną, ze swoich lat dwudziestu pięciu, z wielkiego koła tworów świeżych, wonnych, cichych, które go otaczało, gdy na swym ulubionym koniu wąską drożyną leśną jechał.

Są natury ludzkie podobne do wód stojących, które wszystko,

co je otacza, odbijają w postaciach sennych, mdłych, nudnych, martwych i takie, w których jak w wartkich potokach świat rozłamuje się na tysiąc świetlistych, barwistych obrazów, na tysiąc ognisk tryskających promieniami i tęczami.

On miał naturę wartkiego potoku; świat tysiącem czarodziejskich widzeń odbijał się w jego silnej młodości i wrażliwym sercu, krzesząc w nich wesołość. Widzeń rozwiać i wesołości zgasić życie czasu jeszcze nie miało.

Las w to letnie przedpołudnie cichy był i chodziły po nim tylko szmery lekkich wiatrów. Drożyna w długich zakrętach biegła pomiędzy leszczynami, spośród których ciekawie wyglądały białe i żółte oczy kwiatów. O giętkie pręty leszczyny i jej chłodne liście ocierały się boki konia, który czasem wesoło paraskał. Nad leszczynami daleko wzwyż i w głąb wzbijały się iglaste i liściaste drzewa. Żywica pachniała, ptaki szczebiotały pośród drzew.

Po głowie jeźdźca przewijał się różaniec myśli, którego każdy paciorek miał inną barwę i z coraz innej strony trącał o serce.

Dobrze tam dzieje się w obozie. Zuchy chłopcy! Jak oni dzielnie te wielkie trudy i niewygody znoszą, jak nie żałują niczego, co porzucili, nie tracą zapału i odwagi! Tęgo też w rękę trzyma ich naczelnik! Ciągłe musztry, ćwiczenia. I – karność! Przecież tam już dla kogoś nieposłusznego dół byli wykopali i rozstrzelany miał zostać... tylko mu inni wyprosili życie. Co za człowiek! Jak stal hartowny, a czasem tkliwy jak kobieta. Za sprawne przywiezienie wieści dziękował mu dziś oczyma więcej

niż ustami i można było wtedy przez te oczy zobaczyć, że dusza jego stoi w ogniu męki...

Cóż? Nie dziw! Pułkownik wojsk regularnych w rzemiośle wojennym uczony wie zapewne, jak będzie trudno. Partyzantka... No, cóż robić! Tak krawiec kraje, jak materiału staje...

Tu drożyna, którą jechał, w gąszcze zarośli wpadła i przepadła. Wstrzymał konia, rozejrzał się dokoła. Las, las i tylko las. A gdzie ten moczar, nad który miał przyjechać, aby okrążywszy go znaleźć się na drodze szerokim i trudnym objazdem prowadzącej ku dworowi? Czy tylko po opuszczeniu obozu nie wziął się był na prawo zamiast na lewo? Głowę miał tak pełną tego, co w obozie widział i słyszał, że kto wie, czy nie popełnił omyłki kapitalnej? Trzeba zorientować się, pomyśleć...

Stanął na strzemionach, aby dalej wzrokiem sięgnąć. Jakies tam w oddaleniu niedużym prześwietlenie pomiędzy drzewami, które rozstępują się przed jakąś smugą żółtozieloną. Może to właśnie ta łąka błotnista... ten moczarek?

Z wolna, wśród wysokich sosen, po sprężystych mchach jechał ku prześwietlonemu błękitem nieba punktowi lasu i rozwinął się w nim znowu różaniec myśli.

Gorzka szkoda, że nie jest tam z nimi w obozie i czasem nawet aż wstyd. Ale nie jego w tym wola. Taki był rozkaz. Trochę ludzi młodych i oddanych musiało zostać na swobodzie, aby partii służyć w inny sposób. Ale i na niego pora przyjdzie... Gdy partia przechodzić będzie w okolice inne, wtedy... Czy

tylko przechodzić będzie? Czy dotrwa? Czy się nie rozproszy? Naturalnie, że prędzej lub później musi rozproszyć się, lecz zgromadzi się znowu gdzie indziej i wtedy... Ale co dziś będzie? Co dziś się stanie? Dziś... za godzinę... za dwie... Gdy wyjeżdżał z obozu, wrzały tam przygotowania. Poleje się krew... padną trupy... czyje? Kto z przyjaciół, krewnych, towarzyszy jego dożyje jutra? Jaki będzie wieczór dnia dzisiejszego, tego pięknego dnia? O, Boże! Ty stwarzasz takie jak dzisiejszy dni piękne, całe błękitne i złote, a ludzie rzucają na nie czerwone plamy!

Smutek jak ciężki kamień spadł mu na serce, w którym zakipiał niepokój o wynik bliskiej bitwy zrazu, a potem o daleki koniec tego wszystkiego... Młoda wiara w ostateczne zwycięstwo sprawy, silna wiara w powinność, która, bądź co bądź, pełnioną być musi, jak kolumny złotych domów przez podmuch wiatru targnięte, zachwiały się w podmuchu wątpienia, które ostrzem strasznie bolącym przeszyło serce.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.